

Andrzej Orłoś - Bao Day biegał własnym rytmem

Piotr Dzięciolowski



Fot. z książki "Mistrzowie Polski" - Piotr Dzięciolowski, wyd. 'Akademia Jeździecka'. Warszawa, 2010.

Nic ta waga - przeszło siedemdziesiąt kilogramów; nie ten wzrost - sto osiemdziesiąt centymetrów, a uparł się, że zostanie dżokejem. Już jako uczeń gimnazjum codziennie wstawał o w pół do czwartej rano(!), by jeszcze przed lekcjami zdążyć dosiąść kilku koni na warszawskim Służewcu. W trakcie nauki w szkole średniej też każdą wolną chwilę spędza na wyścigach. Wszystko to jednak nie wystarczało, by załapać się do grona startujących w prawdziwych gonitwach. Prawo takie przysługiwało wówczas jedynie etatowym pracownikom Państwowych Torów Wyścigów Konnych. Mógł z niego skorzystać dopiero po maturze (1951), gdy nieprzyjęty na zootechnikę z racji pochodzenia obszarniczego, zatrudnił się w wyścigowej stajni Stanisława Pasternaka.

Od tej pory, gdy bomba szła w górę, był w swoim żywiole. Gonitwy okupywał jednak... głodówką. By trzymać wagę przeciętnego dżokeja musiał stosować drakońską dietę: w sezonie wyścigowym od środy do niedzieli jadł dziennie zaledwie dwie suche bułki, popijając szklanką mleka. Aż dziw, że wytrzymał i się nic pochorował. Może, gdyby drastyczne ograniczenia trwały latami, reakcja organizmu byłaby dotkliwa, na szczęście już po roku chłopak zrezygnował z wyścigów: Uległ poważnemu, choć nadzwyczaj nietypowemu wypadkowi: pokonując na treningu niewysoką przeszkodę „płatową”, został kopnięty w twarz przez konia skaczącego bezpośrednio przed nim. W szpitalu - a leżał w nim dwa miesiące - doszedł do wniosku, że to właściwie kompletny bezsens, by tak wielki i potężny chłop jak on bawił się w dżokeja. Złożył więc wypowiedzenie, nim jednak nabrało ono urzędowej mocy; musiał

jeszcze dwa miesiące popracować. Nikt oczywiście nie kazał mu jeździć, miał pełnić jedynie obowiązki chłopca stajennego.

Ledwie jednak wrócił ze zwolnienia, przypadkiem dowiedział się, że w sąsiedniej stajni wyścigowej stoi czteroletni arab Cavalero, którego nikt od roku nic potrafi zajeździć. Ktoś podjął nawet decyzję, by konia odstawić do rzeźni!

Jak to usłyszałem, to po pierwsze, nie mogłem uwierzyć, że iluś doświadczonych zawodowców nie może sobie poradzić z jednym koniem, po drugie, zrobiło mi się piekielnie przykro, że tak młodego zwierzaka czeka śmierć tylko dlatego, że człowiek nic umie się z nim dogadać. To niesprawiedliwe - podzieliłem się refleksją z ojcem, który także pracował na Służewcu. Tata w jednej chwili wyczuł moje intencje: mało ci szpitala, już cię śwędzi, już chcesz się nim zająć??? - No pewnie! - odrzekłem zwłaszcza, że sam mnie uczył uzdrawiać zagubione, trudne konie, wiele wyleczyliśmy wspólnie, przywracając im psychiczną równowagę.

Chłopak był przekonany, że i tym razem poradzi sobie z upartym „egzemplarzem”, uprosił więc wszystkich wyścigowych świętych, by na do widzenia pozwolili mu popracować z Cavalero.

To był rzeczywiście wyjątkowo trudny koń, taki wypłoch, nie dawał sobie nawet włożyć ogłowia, wędzidło przypinało mu się do wyścigowego kantara, w którym chodził dzień i noc; nic dawał dotknąć głowy ani pyska... Kantar założono siłą zaraz po jego przyjeździe na Służewiec - jacyś mądrale zarzucili mu na szyję pętlę, przewrócili na ziemię i przemocą go przebrali.

Kiedy Cavalera przekazywano Andrzejowi Orłosiowi, usłyszał: „niech cię Bóg prowadzi, uważaj, żeby cię nic zabił!”

Pracowałem z tym koniem codziennie od dziewiątej do szesnastej, siedziałem z nim w stajni, prowadziłem na uwiązach, na lonży. Po siedemnastu dniach dosiadłem go ze strzemienia bez niczyjej pomocy, pojechałem na tor, ale... zażyczyłem sobie świadków. Kilkuosobowa komisja nie mogła uwierzyć, co wyczyniam z tym niesfornym, skazanym na śmierć arabem.

Od tego dnia Cavalero regularnie chodził pod siodłem. Co prawda tranzelki w dalszym ciągu nikt mu nie potrafił założyć - szczęśliwie jednak było już po sezonie, nowy miał rozpocząć się dopiero za kilka miesięcy. Kiedy następnej wiosny Andrzej Orłoś pokazał się niespodziewanie na Służewcu, ojciec przywitał go słowami: „dobrze, że przyjechałeś, dziś ma biec Cavalero; może założysz mu tranzelkę?” A co za problem! - po czym udał się do stajni, by zrobić, o co tata prosił.

Porozumienie, jakie Orłoś junior osiągnął z Cavalerem było rzeczywiście szczególne. Sam jeździec komentuje żartem, że dogadali się z łatwością, bo przecież pochodzą z tych samych stron. W istocie! Obaj przyszli na świat w Albigowej koło Łańcuta: Cavalero w słynnej miejscowej stadninie, Andrzej w znanej i szanowanej rodzinie Bolesława Orłosa, administratora dóbr Alfreda Potockiego.

Taki rodowód tłumaczy, skąd w życiu naszego bohatera mogła wziąć się fascynacja końmi. Były i w domu, i za płotem. Konno jeździł tata, prowadził stadninę, przygotowywał wierzchowce do biegów myśliwskich. Dziadek - Filip Siarkiewicz - też nie był gorszy, służył w kawalerii armii austro-węgierskiej. Andrzej od najmłodszych lat spędzał więc czas w stajniach w towarzystwie koniuzych i masztalerzy. Uczył się od nich obcowania z wierzchowcami w boksach, na ujeżdżalni, na padoku... Kiedy skończył sześć lat dosiadał już koni pod okiem taty, na razie co prawda na poziomie amatorskim, ale bezcenne rady, którymi był karmiony stanowiły okazały bagaż wskazówek na przyszłość.

Fantastyczne relacje syna z ojcem, nie tylko w kwestiach jeździeckich, były wypadkową niezwyklej między nim przyjaźni. Przyjaźni, która została brutalnie przerwana na kilka lat z chwilą aresztowania Bolesława Orłosa w 1944 r. przez Sowietów i zesłania go na Sybir. Dziesięcioletni wówczas Andrzej

wraz z mamą rozpoczęli tułaczkę, najmuąc się w drodze do różnorodnych robót, byle tylko mieć na chleb; chłopak najczęściej dorabiał u gospodarzy, zajmując się końmi. Dzięki koniom przeżył też jego ojciec, który wozem zaprzęgniętym w dwa mongolskie kuce dowoził żywność do obozu w Swierdłowsku, gdzie więziono przeszło pięć tysięcy Polaków.

Po wojnie Andrzej zatrzymał się u dziadków znanego dziś i popularnego dziennikarza, aktora Macieja Orłosia. Mieszkał tam aż do 1947 r., kiedy to z zesłania powrócił ojciec. Wówczas całą rodziną przenieśli się na Służewiec, gdzie Bolesław Orłoś otrzymał stanowisko szefa stajni, wyścigowych. Od tego momentu Andrzej regularnie jeździł konno m.in. w stajniach Stanisława Michalskiego i Marka Kucharskiego. Po krótkotrwałej dżokejskiej przygodzie trafił na masztalerza do Stada w Kwidzynie. Kierownikiem i twórcą zakładu treningowego był tam przyjaciel ojca, mjr Leon Kon, założyciel przedwojennego Polskiego Związku Jeździeckiego, szef wyszkolenia Centrum Kawalerii w Grudziądzu. I choć major zasług miał Zez liku, skazano go na banicję - musiał wynieść się na prowincję, bo ktoś wytknął mu przyjaźń z generałem Władysławem Andersem. Prowincja rzecz jasna skorzystała!

To był przełomowy moment w moim życiu, pod skrzydłami majora zacząłem uprawiać jeździectwo sportowe: wkkw, skoki, ujeżdżenie. Trenowałem i pracowałem zawodowo. Wciąż jednak męczyło mnie, że nie mam studiów. Gdy nie zostałem przyjęty z wiadomych powodów po raz trzeci, major Kon zupełnie mnie rozbroił: Niech się Pan nie przejmuj, Zez wyższych studiów też można zostać człowiekiem! Niby można, ale ja chciałem mieć dyplom. W końcu go zrobiłem zaocznie na wydziale rolnym, ale już jako dorosły, żonaty mężczyzna.

Dwunastoletnia współpraca z Konem to szkoła, jakiej Orłosiowi wielu i dziś zazdrości. Pod okiem majora odniósł sporo sukcesów sportowych, zdobył wiedzę specjalistyczną, został nawet jego asystentem, co najlepiej świadczy o pozycji, jaką sobie wypracował. Z czasem mianowano go następcą Kona, przejął po nim również pałeczkę trenera. W tej roli przygotowywał polską ekipę m.in. na Mistrzostwa Europy w Moskwie (1965), gdzie Marian Babirecki zdobył złoty medal - pierwszy i jak na razie jedyny w historii startów naszych wukakawistów na zawodach tej rangi.

To prawda, że treningi moich podopiecznych były mordercze, dziennie siedem godzin w siodle, ale taka jest cena sukcesu!

Sam też się nigdy nie oszczędzał; we wszystkich konkurencjach jeździeckich zdobywał złoto Mistrzostw Polski. W krajowych i zagranicznych zawodach startował wiele lat, roczną przerwę zrobił dopiero, gdy wysłano go do pracy w Stanach Zjednoczonych - zakładał tam hodowlę polskich araków. Całkowicie wyłączył się ze startów, gdy został inspektorem hodowli koni w północnej Polsce. O treningach nie było mowy z racji nadmiaru obowiązków, ciągłych wyjazdów, braku czasu dla siebie. Cudem wygospodarował trochę na organizację klubu jeździeckiego i ośrodka sportowego w Sopocie. Tam zresztą trenował jego syn Marek.

Ale na ochotnika, nie było z mojej strony żadnego przymusu. Nigdy nie wymagałem od swoich dzieci, by robiły to, co mnie się podoba, co mnie interesuje. Ważne, żeby one odczuwały satysfakcję, a to jest możliwe tylko wówczas, gdy człowiek zajmuje się tym, co go naprawdę pociąga. Nie nalegałem, by uprawiali sport wyczynowy. Córka Elżbieta pokochała jeździectwo rekreacyjne, świetnie sobie radzi, jest nawet instruktorką, uczy teraz własne dzieci. Z kolei syn wybrał jeździectwo sportowe, ale lekko pod moimi skrzydłami mu nie było, zapewne ciężiej niż innym. Nigdy bowiem, choć miałem takie możliwości, nie dałem mu, jak to się określa, gotowego wierzchowca, którego wystarczy dosiąść i wystartować. Przeciwnie, przydzielałem chłopakowi konie trudne, nawet bardzo trudne i mówiłem: radź sobie. Moim zadaniem było nauczyć go podstaw sztuki jeździeckiej i korygować błędy. Uważałem, że im więcej koni dosiadzie, zwłaszcza tych humorzastych, tych z problemami, tym większego nabierze doświadczenia, tym łatwiej będzie mu współpracować z wierzchowcem na parkurze. I nie myliłem się! Złoto juniorów - miał wtedy piętnaście lat - zdobył na koniu, którego wycofano ze sportu, bo nikt nie potrafił go okiełznać. Syn poradził sobie... jak niedyś ja na Służewcu z Cavalero...

Ile koni Andrzej Orłoś przywrócił „społeczeństwu” dokładnie nie pamięta. Wiele uzdrowił przecież jeszcze do spółki ze swoim ojcem i pod jego kierunkiem, dziesiątkom aplikował psychoanalizę we własnym zakresie. O efektach tych działań wiedziało wielu koniarzy. Kiedyś, dawno, bo blisko pół wieku temu, Orłoś odebrał telefon od serdecznego przyjaciela, kierownika Stadniny Koni w Golejewku:



Andrzej Orłoś i Bao Day

Słuchaj, mam tu przepięknego czteroletniego wałacha pełnej krwi angielskiej - Bao Daya po Aquino. Wrócił z toru wyścigowego, nie sprawdził się, podobno nie mogli sobie z nim poradzić, nie chciał galopować. Rzeczywiście jest krnąbrny, uparty i szalenie nieufny, ale ty się z nim dogadasz.

Przyszły właściciel ledwie ujrzał Bao Daya, a już się w nim zakochał.

Boże, jaki on był cudny, nie miało znaczenia, że pobudliwy i znerwicowany. Szybko zresztą odkryłem jego wielką słabość - nieprawdopodobne łakomstwo. Postanowiłem to wykorzystywać, podlizując mu się podtykaniem łąkoci i w boksie, i na pastwisku, na każdym kroku. Przez pierwsze miesiące nie pracował, pasł się i nie miał żadnych obowiązków. Chciałem, by przywykł do nowego miejsca, a przede

wszystkim się uspokoił. Czułem zarazem, jak coraz bardziej się zaprzyjaźniamy, z żadnym innym koniem nie miałem takiego kontaktu, zresztą ani ja, ani cała moja rodzina. Bao Day stał się dla nas najukochańszą istotą.

Z czasem Orłoś zaczął go wprowadzać w świat parkurów - notabene był to jego pierwszy wierzchowiec, którego nikt wcześniej nie uczył skakać. Musiał więc konia trenować od zera. Przez pierwsze cztery lata nikomu go nie pokazywał, nie startował z nim w żadnych zawodach. Trenował sporo, ale w domowym zaciszu, by nie narażać Bao Daya na jakikolwiek stres. Początkowo nawet na widok większej liczby ludzi wierzchowiec robił się mokry i trzął niczym galareta. Z miesiąca na miesiąc, z roku na rok stawał się jednak spokojniejszy, chodził za swoim panem jak pies i coraz bardziej dawał do zrozumienia, że jest bliski startu. I wystartowali..., od razu zdobywając mistrzostwo Polski.

Bao Dav skakał nie tylko wysoko, ale i przepięknie. Trudno go jednak było zmusić do szybkiego pokonywania parkuru; robił wszystko, jak trzeba, ale we własnym tempie.

Z tego powodu nie nadawał się np. do wkkw, do którego Orłoś zamierzał go w pewnym momencie przysposobić. Jeździec uznał, że skoro koń doskonale skacze, to niech... tylko skacze.



Andrzej Orłoś i Bao Day, lata 60.,
XX wieku

Minęły dwa lata wspólnych startów i sukcesów. Zgłosili się na kolejne zawody, tym razem międzynarodowe w Olsztynie. Chwilę przed wjazdem na parkur do Andrzeja Orłosa podszedł jego trener, mjr Mossakowski i rzekł: „jesteś naszą ostatnią szansą w tym konkursie, wszyscy Polacy odpadli, nie przejmuj się Bao Day’em, zajrzyj mu do skóry, a będziesz w czołówce; ojczyzna na ciebie liczy”.

Bao Daya w życiu nie uderzyłem, choć bat zawsze miałem w ręku. Jak idiota posłuchałem Mossakowskiego, uwierzyłem, że tak trzeba i ledwie ruszyliśmy, a ja już - jeszcze przed pierwszą przeszkodą - przyłożyłem mojemu koniowi. Spojrzał na mnie - nie zapomnę tego do końca życia - jakby pytał, dlaczego mnie lejesz, co ci zrobiłem??? I gnał przed siebie, pokonując kolejne przeszkody. Ani jednej zrzutki, drugi czas. Wspaniały wynik - wtedy jednak nie widziałem, czym okupiony... Nazajutrz kolejny dzień zawodów, luzak przyprowadza Bao Daya, a ten mokry, leje się z niego, drży i przestępuje z nogi na nogę. Z trudem udaje mi się wsiąść, wjeżdżam na parkur, koń zatrzymuje się przed pierwszą stacjonatą i nie chce zrobić kroku. Rezygnuję ze startu i... wiem już wszystko: jednym uderzeniem bata zaprzepąściłem to, do czego wspólnie dochodziliśmy tyle lat. Zachowałem się wobec niego tak, jak nie chciałbym, by ktokolwiek zachował się wobec mnie. Pół roku przepraszałem Bao Daya, przekupywałem łakociami, by mi wybaczył. I wybaczył, choć pewnie nie do końca.

Dwa lata później pojechałem w charakterze trenera polskiej ekipy na wkkw do Irlandii. Bao Day został w domu; podczas mojej nieobecności padł na zawał. Sekcja wykazała wrodzoną wadę serca, zwyrodnienie mięśnia. To dlatego biegał własnym rytmem, tak powoli galopował. To dlatego nie nadawał się do wyścigowych gonitw i do wkkw. Któż jednak mógł o tym wiedzieć - zwierzętom nie robiono wtedy nawet EKG. Tym bardziej więc męczy mnie moralny kac - uderzyłem chorego przyjaciela, który i tak przecież dawał z siebie więcej niż mógł.

Medale w Mistrzostwach Polski w Ujeżdzeniu

rok	miejsce	nazwa konia
1959	III	Krokosz
1960	III	Botwid
1961	I	Botwid
1962	II	Botwid

Medale w Mistrzostwach Polski w Skokach Przez Przeszkody

rok	miejsce	nazwa konia
1964	I	Bao Day

Medale w Mistrzostwach Polski w WKKW

rok	miejsce	nazwa konia
1959	I	Krokosz
1962	II	Klarys
1964	II	Dysproz

Igrzyska Olimpijskie w Rzymie

rok	dyscyplina	miejsce
1960	wkkw	17 - indywidualnie

Pochodzenie Koni

nazwa konia	rasa	data ur.	maść	ojciec	matka / ojciec matki	hodowca
Bao Day	xx	1956	Kaszt.	Aquino	Burma II/Pilade	SK Golejewko
Botwid	x wlkp.	1951	gn.	Caprivi x trk.	Botin x wsch pr./Alibaba	SK Liski
Dysproz	x wlkp.	1955	gn.	Fortunatus xx	Drętwa x wlkp./Polastern x trk.	SK Liski
Klarys	x wlkp.	1953	gn.	Diadem x trk.	Klara x pozn./ Znicz x wschpr.	SK Żołędnica
Krokosz	x wlkp.	1951	sk. gn.	Caprivi x trk.	Cornelia x wschpr./Cornelius xo trk.	SK Liski